

REPATRIANCI – EKSPATRIANCI

Repatrianci, repatriacja, repatriować – już same te zasadnicze terminy stwarzają wiele zasadniczych różnic i nieporozumień. Bo jeżeli „Patria” to ojczyzna, to jakżeż tu nazwać repatriantem człowieka z Wilna czy ze Lwowa – przecież oni tam urodzili się w Polsce i przyjeżdżają do Polski – no, trochę zmienionej... A jak pisać o repatriantach spod Żytomierza – przecież i tam była kiedyś Polska, a tamtejsi Polacy stanowią często przedłużenie starych rodów. A zatem: repatrianci, czy ekspatrianci. Od wielu pokoleń żyją też Polacy na Syberii – i tu będziemy mieli kłopoty z ich nazwaniem.

Repatrianci, jak to z nazwy wynika, powracają do ojczyzny. Natomiast Polacy z Kresów są wyrwani ze swojej (eks...) i wracając jadą do ... Właśnie, dokąd: do Australii, Kanady ... ? Jadą do Polski, która jest naszą wspólną pierwotną ojczyzną, zazwyczaj większą od tej opuszczonej. To samo dotyczy zresztą i pojęcia „Polonii”. Pozostali we Lwowie i na Kresach obrażają się o to, bo przecież oni od pokoleń... A przecież podobnie jest z tymi na Syberii, a nawet w Kazachstanie. Więc gdzie ta „Polonia” skoro nawet Polacy w Anglii wolą się uważać za „wychodźstwo”. A „Polonię” znajdziemy za to w ... Izraelu!

Czy nie prościej zatem przyjąć tu za podstawę aktualny stan państwowości polskiej i objąć ich wszystkich jedną, ogólną i oficjalną nazwą: jako przebywających poza granicami kraju i powracających spoza nich? To samo dotyczy przecież i repatriantów z Zachodu. Ale nie – my Polacy za cnotę romantyczną uważamy cierpiętnictwo, poniżenie narodowe i chętnie się w takie szaty przystrajamy – odwrotnie niż Niemcy, Francuzi, Anglicy i Amerykanie, którzy wolą się widzieć zwycięzcami. Ich mentalność narodową kształtowały pasma sukcesów – naszą klęsk.

Typowym przykładem dla ilustracji tego zjawiska są wagony, którymi

wyjeżdżaliśmy z ZSRR. Nawet trudno o to pytać, wiadomo – bydłęce! A tymczasem w istocie niewiele miały one wspólnego z wagonami przystosowanymi do przewozu zwierząt. Po prostu – wagony towarowe! A jakie zresztą miałyby być? Dla naszych skrzyń, pak, kufrów i tobołów mieli nam dostarczyć salonki? Repatrianci z Zachodu także w takich wracali, ale nikt nie miał pretensji co do ich „bydłowości”. Zdarzało się ponoć, że w braku innych, na krótkie przejazdy podstawiali wagony osobowe. Tylko jak tu się w nich zmieścić z bagażem, jak w nich spać, a przede wszystkim gotować?! A poza tym były zapluskwione... A żeby było śmieszniej, wypada dodać że „wagony bydłęce”, którymi wywozili ludzi na wschód były właśnie przystosowane do przewozu ... ludzi. Zazwyczaj znajdowały się tam szerokie półki, sławetna dziura w podłodze i zaciągnięte drutem kolczastym okienko.

Zdarzało się też, że z braku krytych wagonów towarowych podstawiano otwarte węglarki, a w nich często umieszczano rodziny z żywym inwentarzem. Zdarzyło się to właśnie moim znajomym. Inteligencka rodzina z jednej strony wagonu, a z drugiej kolejarska z ... krową. Zdawało się początkowo, że transport będzie dla nich jedną wielką gehenną; bo nie dość że bez dachu, to jeszcze to bydłę z wszystkimi konsekwencjami. Później się okazało, że to „bydłę” było błogosławieństwem w czasie dość długiej podróży (do Gdańska), bo ich żywiło, niby ubogie rodziny na przednówku. Kolejarze wreszcie wysiedli (i osiedli) na małej stacji pod Gdańskiem, ale wagonowa zażyłość trwała jeszcze ładnych parę lat. Doszło „nawet” do trzymania do chrztu. A zatem różnie bywa: rzekome „bydłęce” nie mają nic wspólnego z bydłem, natomiast niebydłęce wiozą także bydło i chwala im za to.

Zanim jednak do tego doszło; do masowych i zorganizowanych transportów, ludzie wyjeżdżali ze Lwowa nielicznie i niechętnie. Głównie ci, którzy nie chcieli ryzykować dalszego pobytu w tych bardzo nieszczególnych warunkach. Ale też cwaniacy, chcący załapać w Polsce lepsze warunki mieszkaniowe. Chociaż ci najbardziej obciążeni: volksdeutsche, kolaboranci (ktoś przecież

pisywał do polskojęzycznej gadzinówki - „Gazety Lwowskiej”), szmalcownicy i grubszy handlarze – wyjechali jeszcze razem z Niemcami. Większość ludności polskiej Lwowa nie wierzyła w to, że polskie miasto rodzinne trzeba będzie opuścić. Wyładowane „sztrajfery” kierujące się na dworzec budziły powszechne zainteresowanie, ale też traktowane były jako coś wyjątkowego, co innych nie będzie dotyczyło.

Z tych pierwszych, jesiennych transportów korzystali też nieoficjalnie ludzie, którym ziemia paliła się pod nogami. Zamieszani w działalność podziemną, albo podejrzani o to. Zdarzyło się np. że nasz zespół szkolny brał udział w tzw. „Olimpiadzie”. Występowała tam jeszcze polska szkoła żeńska i także ukraińska. Poza chórem, zespół starszych uczniów – rewelersów odśpiewał przy gitarach kilka pieśni patriotycznych, m.in. popularną piosenkę z Obrony Lwowa, w której występują słowa: „ Nie oddamy polskiej chaty, bo Lwów był i będzie nasz...!” Słowa te oddawały zresztą doskonale nastroje większości Polaków, zamieszkujących miasto. Można sobie wyobrazić reakcję widowni – zarówno rozentuzjasmowanej polskiej części - jak i wrogiej ukraińskiej! My naiwni sądziliśmy, że możemy sobie pozwolić na swobodne wyrażanie uczuć patriotycznych – wszak jesteśmy sojusznikami, złączyła nas walka ze wspólnym wrogiem itd.

Pierwsze miejsce zdobyła oczywiście szkoła ukraińska, co było o tyle słuszne, że ich program przygotowany był w sposób profesjonalny – z tańcami i bogatymi strojami ludowymi. Wypożyczono je z Domu Kultury Kolejarzy (kino „Roxy”), a obsłużyły zapewne i powitanie Niemców w 1941 roku, jak i kolejne powitanie Sowietów w 1944 roku. Takie dyżurne stroje...!

Ażeby było śmieszniej i bardziej pikantnie, sala wymalowana w czasie okupacji niemieckiej obfitowała w żółto-syne ozdoby i tryzuby, mimo że symbole te, wraz z całą ideologią nacjonalistyczną, były ponoć zwalczane przez Sowietów. Widać niezbyt gorliwie...

Znałem bliżej „konferansjerkę” tej imprezy: jej brat służył w Dywizji SS „Galizien”, znanej z bestialskich akcji wobec ludności polskiej... Znaną i popularną pieśń: „ Czy to w dzień, czy o zachodzie” zapowiedziała jako „Plecaki”, bowiem ze względu na rzekome trudności językowe wytłumaczono jej, że dotyczy flisaków...!

Można też sobie wyobrazić, co się działo później. Aresztowano i wywieziono nauczyciela, który opiekował się zespołem (prof. Zawirski) a także innego, którego syn w tym zespole występował (prof. Wajda). Chłopców szukano skrupulatnie, ale ci się rozpierzchli, początkowo po mieście, a później pouciekali nieoficjalnie w transportach repatriacyjnych.

Ciekawa rzecz, ale podobna działalność patriotyczna była jak gdyby wpisana w tradycje XI Gimnazjum, do którego chodziłem. W czasie pierwszej okupacji sowieckiej dwaj chłopcy trafili do więzienia za podobne ekscesy. Siedzieli w słynnych „Brygidkach” i kiedy Sowieci się wycofywali w 1941 roku trafiła się okazja do ucieczki. Jeden skorzystał z tego, a drugi się bał i w rezultacie zginął w czasie słynnych mordów w lwowskich więzieniach!

Nikt nas oficjalnie nie zmuszał do wyjazdów, nie było też żadnych oficjalnych zarządzeń – wszystko miało mieć w zasadzie charakter dobrowolny. Kazano nam jedynie zdjąć wizytówki na drzwiach z polskimi nazwiskami. Natomiast oficjalna propaganda nie pozostawiała cienia wątpliwości, co do przynależności Lwowa i Kresów. Owszem, stwarzano „dogodne” warunki dla wyjazdu. Polski Urząd Repatriacyjny (PUR) przy ulicy Dąbrowskiego przyjmował zgłoszenia na wyjazd i należało tylko wyczekiwać stosownego transportu. Wszystko to jednak odbywało się w nastroju niepewności i naiwnego optymizmu, który kazał wierzyć że są to kłopoty przejściowe, wynikające z aktualnej koniunktury politycznej i że albo nie pojedziemy, albo niedługo tu jeszcze wrócimy!

Było jednak coś, co wpływało bardzo istotnie na decyzję wyjazdu. To warunki życia we Lwowie. To piękne miasto nie było jeszcze nigdy tak

brzydkie i zaniedbane. Nie było zatem światła, nawet w szkołach i szpitalach wojskowych! Ciemne i brudne ulice były niebezpieczne i w nocy, i w dzień. Całe hałustry rozprężonego żołdactwa i cywilnych żulików. Napady i kradzieże były na porządku dziennym, a szczególnie nocnym. Grupy chorych i rannych, urządzające burdy i kradzieże na bazarach, którym nie mogła zaradzić milicja. Kule (inwalidzkie) latały wtedy w powietrzu. Nieład w całym mieście, tramwaje rzadkie i przepełnione. W takim Lwowie nie chciało się żyć - z tego miasta można było tylko wyjechać! Szczególnie przykre to było dla pamiętających Lwów przedwojenny, a takich była większość.

Do tego doszły trudne warunki zimowe z dużym mrozem, brakiem opału (choć szły z zachodu wagony z węglem górnośląskim!), pookupacyjnymi brakami ciepłej odzieży i obuwia. Przydziały kartkowe były jeszcze skromniejsze niż za Niemców. A ukoronowaniem przydziału były zapałki (słynne „spiczki”, co batiarnia wymawiała oczywiście oddzielnie...), wraz z zatarką (draską) bez pudełka; luzem do łapy – niby pszczoły luzem...! Nie wróżyło to wszystko szybkich zmian na lepsze.

Wielu Polaków zaangażowanych było ponadto w organizacjach podziemnych, co miało początki jeszcze w czasach okupacji, albo tworzyło się od nowa. Miałem np. wstąpić do podziemnego harcerstwa, ale nie doszło do tego bowiem nastąpiły aresztowania i wywózki. Wpadł mój kontakt. Więzienia były przepełnione, specjalne obozy (np. na Zamarstynowie) też. Minęła szybko euforia i nadzieja z pierwszych dni po wyzwoleniu, kiedy to na ratuszu i gmachach publicznych obok trzech flag sojusznicznych wisiała i polska. Już choćby ze względu na udział polskich partyzantów ochraniających radzieckie czołgi.

Pozostawała jeszcze złudna nadzieja, że może jednak, wbrew nachalnej propagandzie... Przecież nasz żołnierz walczy od początku wojny, walczy na Wschodzie i na Zachodzie, walczy o całą Polskę, o wszystkie polskie miasta. Potem miało się też okazać, że naród polski poniósł w tej wojnie

(proporcjonalnie) największe straty! Z drugiej znów strony wiadomo było, że ziemia lwowska jest ziemią piastowską, podstępnie zagarniętą przez Rusinów, o czym świadczy pierwszy i to „ich” dokument – kronika Nestora, kronikarza Kijowskiej Ławry. „W roku 981 po narodzeniu Chrystusa Pana wyprawił się Włodzimierz na Lachów i zajął grody ich: Przemyśl, Czerwień i inne grody...” Był to pierwszy cios nożem w plecy, za nim niestety poszły następne. A udało im się to dlatego, że Mieszko I zaangażowany był w wojnę z Niemcami, wrogami całej Słowiańszczyzny. Potem królowie polscy (Bolesław Chrobry, Bolesław Śmiały, Kazimierz Sprawiedliwy, Leszek Biały) starali się odzyskać, co zagrabione, ale dopiero ostatni z Piastów ostatecznie odebrał to co utracił pierwszy.

Na tej ukradzonej ziemi wzniesiono skromny drewniany zameczek, nazwany na cześć syna księcia Daniły – Lwowem. Przeniesiono tu stolicę Rusi Halickiej, gdyż Halicz był ustawicznie niszczonej przez hordy tatarskie. Podobnie było z gródkiem lwowskim, a najeźdźcy zmuszali nawet Rusinów do własnoręcznego usuwania umocnień ziemno-drewnianych. Skończyło się to, kiedy Kazimierz Wielki zbudował obok gród ceglano-kamienny.

Kiedy historycy i archeolodzy dociekają przeszłości jakiejś ziemi, zwykle biorą pod uwagę dowody materialne w postaci wykopalisk. Kamienne siekierki, popękane nocniki i inną ceramikę. W wypadku interesujących nas ziem, decydująco świadczą o ich polskości elementy zdawałoby się ulotne, niematerialne, ale bardzo istotne – do dziś używane nazwy ludzi, którzy tam bytowali.

Zanim Polskę zorganizowano w jeden organizm państwowy, ludność która zamieszkiwała jej ziemię żyła w grupach plemiennych. Wiślanie, Polanie, Bobrzanie, Ślężanie i inne. Na interesującym nas terenie żyli Lędzianie. Zajmowali polany leżące nad rzekami, czyli tzw. łęgi, co pozwalało im korzystać zarówno z bogactw naturalnych lasów jak i wód. Ciekawa rzecz, ale narody sąsiadujące z nimi (na ogół liczniejsze, o większym znaczeniu polityczno-

militarnym) – Węgrzy, Litwini, Rusini – przyjęli ich zmienione nazwy na określenie narodowości polskiej. Lengyel, Lankas, Lach. A zatem stali się reprezentatywni dla naszej nacji. Np. Polska w języku węgierskim to „Lengyelország”, czyli w swobodnym tłumaczeniu: kraj Łędzian. Podobnie jest z litewską „Lenkija”. I nazwy te, wzięte od mieszkającego tam ludu przetrwały przez wieki – do dziś!

To wszystko jednak nie stanowiło argumentów dla naszych zachodnich „sprzymierzeńców”. Oni przodowali zwykle w niewiedzy i braku orientacji w historii i geografii zarówno Polski, jak i tej części Europy, w której leży. Osławiona linia Curzona brała jedynie pod uwagę fragmenty tych zagadnień – najprostsze (żeby nie powiedzieć: najbardziej prymitywne...). Aktualne rozmieszczenie ludności, bez potrzeby jej przemieszczenia. Bez wnikania w przyczyny aktualnego stanu. A jednak do poważnych przemieszczeń musiało dojść: zarówno Polaków, jak i Ukraińców, a przede wszystkim Niemców. A nawet w.w. linia, gdyby została konsekwentnie przeprowadzona(wzdłuż Bugu), pozostawiłaby Lwów w Polsce, jako że przebiega 32 km za nim na wschód. Dlatego lwowianie nie są tzw. „zabużanami”. Niestety – mimo jej zasadniczych niedoskonałości, stanowiła podstawę konferencji sojuszniczych, przy omawianiu przyszłych granic.

A przecież duża część ludności ukraińskiej (podówczas „ruskiej”) znalazła się na terenie Małopolski Wschodniej w sposób dość przypadkowy – a nawet wypadkowy. Po wyniszczeniu tych terenów przez Tatarów ciągnęły ze wschodu całe rzesze koczowników, nomadów, wraz ze swoimi zwyczajami, kulturą i etyką. Obsadzali opuszczone tereny, bowiem pod tym względem natura (ludzka) także nie znosi próżni. Wielmożowie polscy dbali o te zasiedlenia, aby mieć kwitnące wsie, przynoszące zyski. Kusili więc kolonistów dobrymi warunkami dla osadnictwa: okresowym zawieszeniem pańszczyzny itp. Zakładano liczne, nowe wsie na tzw. surowym korzeniu, na prawie wołoskim itp.

Bo i imigracja wołoska też się tu liczyła. Głównym grzbietem Karpat wędrowały ludy z południa niosąc ze sobą pasterską kulturę hodowlaną (koszar, baca, gazda, bryndza, bundz, wałach), osiedlając się w dogodnych dla siebie miejscach, dając w rezultacie Hucułów, Bojków i Łemków. Były to przeważnie ludy prawosławne (Rumuni, Serbowie, a nawet Grecy). W wyniku kontaktów z miejscową ludnością i jej religią ulegali sławizacji i rusyfikacji, i w związku z tym wrzuceni zostali później do jednego, formalnego, ukraińskiego worka. Mimo iż np. po obu stronach granicy polsko-słowackiej i węgierskiej (Ruś Zakarpacka) ludy te wyglądały, mówiły, zachowywały się inaczej i miały też inną świadomość narodową.

Te argumenty i fakty także nie były brane pod uwagę przez pilnie zainteresowanych i to z obu stron. Były inne, ważniejsze dla nich argumenty i plany. Nie liczyło się i to, że Polska pierwsza wystąpiła przeciw agresji Hitlera, ani tego konsekwencje, ani też postawa żołnierza polskiego na wszystkich (prawie) frontach. Ani też to, że Polskie Siły Zbrojne w pewnym długim okresie stanowiły czwartą co do liczebności i aktywności armię, jako że Francja przestała się liczyć! W polityce (szczególnie w wydaniu zachodnim) nie liczą się emocje, a Polacy byli tam potrzebni, dopóki byli potrzebni (Churchill)!

Stalin podtrzymywał zakłamaną opinię o monolocie społeczeństwa radzieckiego, chociaż fakty przeczyły temu w sposób jaskrawy. Gdziekolwiek doszli Niemcy tworzyły się liczne i aktywne ugrupowania antysowieckie. Z jeńców różnych narodowości ZSRR tworzono oddziały zbrojne (np. dywizje) na służbie niemieckiej. Władza radziecka wyciągała wobec nich później najsurowsze konsekwencje. Dla zamydlenia oczu jednak dbano tam o jedność i całość terytorium i nie było mowy o odstąpieniu Polsce skrawka ziemi „kapryśnej Ukrainy”. Mimo dywizji SS „Hałyczyna” i kozackiej kawalerii. Jednych Stalin rozstrzeliwał i wywoził, a drugich obłaskawiał swoją „opieką”. Bat i marchewka! A w perspektywie miał podporządkowanie sobie licznych krajów Europy Środkowej i Południowej, co mu się zresztą udało...!

A tymczasem wojna trwała, choć zbliżała się do końca. Zachodni alianci starali się zmniejszyć swoje straty osobowe i materialne, mając za sojusznika ZSRR, któremu można było oddać względny honor zdobycia Berlina i Pragi. Tam panowała maksyma: „U nas ludziem dużo...!”, co dotyczyło także sprzętu; głównie czołgów. Alianci zachodni mieli jeszcze do ukończenia trudną wojnę z Japonią, w co także wciągnęli Armię Czerwoną. Spodziewano się wielkich strat przy desancie na sfanatyzowany kraj wyspiarzy. Bomba atomowa nie była jeszcze gotowa i nieznane było w pełni jej działanie. Wszystko to wskazywało na to, że ze wschodnim sojusznikiem należy się jeszcze liczyć, aby go wykorzystać w wiadomy sposób. Liczyły się zatem interesy własne, a nie jakiejś tam niewielkiej i dalekiej Polski...!

A my, naiwni, oczekiwaliśmy spełnienia historycznej sprawiedliwości...Pod koniec surowej zimy, w lutym dowiedzieliśmy się o Konferencji Jałtańskiej i jej postanowieniach. Sparaliżowała nas ta wiadomość, spadła też szokiem na żołnierzy polskich walczących i umierających na trzech frontach, na morzu i w powietrzu. Wymieniono nam jedynie jedne polskie ziemie historyczne, na inne! Jak zwykle, warunki dyktowali silniejsi. Jak zwykle nie mogliśmy liczyć na zachodnich aliantów! Wbrew układom i zapewnieniom to nie oni nam pomogli, ale my im. Sytuacja niemal abstrakcyjna. Stosunkowo mała i słaba Polska nie doczekała się właściwej pomocy, we właściwym czasie od kolonialnych mocarstw. Ale polscy żołnierze walczyli z poświęceniem w krytycznym okresie i we Francji, i w Anglii (lotnicy), i na morzach, i w Afryce, i w Italii, i ponownie w Zachodniej Europie!

Trzeba było pewnego czasu, aby się do tej hiobowej wieści przyzwyczaić i powziąć odpowiednie decyzje: zostać – czy wyjechać? Skończył się wreszcie okres niepewnego wyczekiwania, płonnych nadziei i wzajemnego dodawania sobie otuchy. A podobno najgorsza jest ta niepewność.

Oficjalnych nacisków nie było nadal – wszak byliśmy jeszcze sojusznikami. Jednak dla większości Polaków sprawa była przesądzona i to przesądzona przez

nich samych – tu nie ma sensu zostawać! Poza wszystkim innym pozostanie łączyło się z podpisaniem obywatelstwa radzieckiego. A my chcieliśmy żyć wśród swoich; mówić i uczyć się po polsku. Chcieliśmy i zgodnie z tym postępowaliśmy. Woleliśmy wyjechać, a więc robiliśmy to, co odpowiadało naszej woli – dobrowolnie, bez przymusu. Po Jałcie...

Owszem były też naciski, ale nieoficjalne. „Kiedy wyjeżdżacie?” – to pytanie zadawali nam często, zarówno miejscowi Ukraińcy, jak i przyjezdni Rosjanie. Czekali na nasze mieszkania. Były też naciski innego zupełnie rodzaju. Na wsi szalały bandy UPA, dziwnie opieszale zwalczane przez NKWD i wojsko. Ludzie uciekali do większych miast, ratując skromny dorobek i życie. Ale rzecz ciekawa, w niektórych okolicach na Kresach (Wileńszczyzna) polskich chłopów niechętnie wypuszczano, bo to mogło grozić zawaleniem kołchozowych planów. To samo dotyczyło niektórych robotników w większych miastach. Termin wyjazdu zbliżał się, byliśmy już spakowani, sprzedaliśmy co tylko się dało, a zwolnienie z pracy, bez którego nie można było wyjechać mój ojciec dostał dopiero w ostatnim dniu. Ktoś musiał zostać aby pracować. Jechaliśmy zorganizowanym transportem tramwajarzy. Nagły wyjazd dużej grupy fachowców mógł dezorganizować nawet szczątkową komunikację. Mógłby ktoś jednak zauważyć, że gdybyśmy pozostali w większej ilości, wówczas już oni postaraliby się o to aby ten polski bastion rozparcelować i to w sposób wiadomy. Nie jest to pewne, ale wielce prawdopodobne – już my ich znamy...! Ale i wobec tego potencjalnego zagrożenia postąpiliśmy tak jak to nam dogadzało: zamiast na wschód, wybraliśmy drogę na zachód. Znowu zgodnie z naszą wolą, a więc dobrowolnie, co jednak nie musi znaczyć, że chętnie. To my w każdym razie decydowaliśmy o sobie i wyszliśmy na tym dobrze.

Kiedy ojciec załatwiał ostatnie formalności w „Domouprawie”, czegoś tam jeszcze brakowało, jakiejś pieczętki. Machnął ręką mówiąc: „przecież my tu i tak niedługo wrócimy...!”. Zachnęła się na to ukraińska urzędniczka: „chyba po

naszym trupie!”. „Będzie nam bardzo miło...!” – odpowiedział mój staruszek. Takie były właśnie nastroje wśród wyjeżdżających, a niektóre paki pozostawały potem długo zamknięte.

Ale też ludzie zostawali i to w niemałej ilości. We Lwowie np. kilkadziesiąt, a na całych Kresach setki tysięcy – około miliona. Brak było tylko uczciwej informacji i statystyki. Chcieli zostać, więc zostali, tak jak inni wyjechali, bo tego chcieli. Zostawali z różnych powodów. A to starych drzew się nie przesadza, a to czekali na powrót bliskich wywiezionych, a to nie chcieli zostawić domku z ogródkiem – dorobku całego pracowitego i oszczędnego życia, a to nie chcieli porzucić grobów bliskich. Niektórzy po prostu nie wyobrażali sobie życia poza ukochanym Lwowem! Jednemu z profesorów nie pozwolono wywieźć obszernego księgozbioru, więc został z książkami...

Zaczęto tworzyć całe zorganizowane transporty pracowników w poszczególnych instytucjach. Organizacja taka miała na celu pewne ułatwienia, ale też określony cel: objęcie pracy i stanowisk w konkretnych miejscowościach na Ziemiach Odzyskanych. Świadczy też o pewnej swobodzie, dobrowolności decyzji i realizacji wybranych, dogodnych form wyjazdu. Urząd PUR-u przy ulicy Dąbrowskiego był stale obłożony przez długie kolejki.

W ten sposób wyjechał m.in. Polski Teatr Dramatyczny i Ossolineum, wyższe uczelnie i służby miejskie, np. tramwajarze. Utworzono nawet dwa transporty tramwajarskie, w jesieni i na wiosnę. Mieliśmy jechać tym pierwszym, aby zaoszczędzić sobie kolejnej ciężkiej zimy we Lwowie. Mimo, że wyjazd w porze jesienno-zimowej był bardziej ryzykowny. Transport kierowano do Wrocławia, nadając mu charakter pionierski – dla przywrócenia komunikacji w zrujnowanym mieście. Tego przed nami nie ukrywano. Uprzedzano nawet o początkowych trudnościach.

Jest to o tyle ważne, że konsekwencje tych wydarzeń odżyły po wielu latach. Kiedy mianowicie tworzyliśmy pierwsze kresowe stowarzyszenie - Towarzystwo Miłośników Lwowa reżimowi pismacy rzucili się na to

wymyślając nam od ziomkostw, co w tych trudnych latach groziło rozwiązaniem młodej organizacji. I wtedy właśnie wyszły podstawowe różnice między nami a Niemcami, którzy musieli opuścić nasze Ziemie Odzyskane, podczas gdy myśmy wyjeżdżali jak sami chcieliśmy.

Nie wszyscy jednak chcieli to tak rozumieć. Spowodowało to nawet żywą reakcję. Chcieliśmy?! – zmuszono nas!!! Tu znowu wyszła na jaw wspomniana już cierpiętnicza tendencja do przesadnego tragizowania. Wiadomo, że po Konferencji Jałtańskiej nie było sensu aby tam zostawać. Wystarczyło to jednak dla powstania „pałacowych” intryg: szkodliwego fermentu w Zarządzie Głównym i zmianę jego składu. A może i o to głównie chodziło. Może to była misternie uknuta prowokacja dla rozbicia pierwszej organizacji kresowej. Nadarzyła się niezła okazja dla jej skłócenia. Tak po polsku, prawie jak na emigracji! Nie można bazować na niektórych tylko wypadkach, bo to stanowi jedynie część prawdy, a niepełna prawda nie jest prawdą! Nie można też przerabiać faktów historycznych – w historyczne, a dotyczy to zarówno samych wyjazdów jak i wagonów... Innymi słowy: nie dajmy się zwariować – nie dajmy się upuścić nawiedzonym oszołomom!

Jesień była ciepła i pogodna. Stwarzało to pewne nadzieje na względnie dobrą podróż, ale i związane z tym obawy. Przygotowania trwały. Sprzedaliśmy meble, ale ja zostawiłem sobie dwa nowoczesne w kształcie, kubiczne „nackkastliki”, które po odpowiednim zabezpieczeniu gwoździami mogły służyć za skrzynki. Na książki. Jedne sprzedawałem, inne zaś kupowałem, aby wywieźć te najcenniejsze, polskie. Kupowało się też żywność na drogę, przeważnie amerykańskie konserwy: „Swinaja tuszonka” i „Miasnaja tuszonka”. Do dziś pamiętam ich wyborny smak! Mama ugotowała wielki gar bigosu. A tymczasem termin wyjazdu ustalono z grubsza i nic się właściwie nie działo.

Był to I Transport Tramwajarski, ale jechali też ludzie spoza tej profesji – krewni, znajomi – byle się prędzej zabrać! Chciała z nami jechać m.in. Pani Sakra, była siostrą medyczną. Ciekawa postać: pochodziła z Kielc, ale brała

udział w Obronie Lwowa. Podówczas sprawa Lwowa była sprawą nie tylko lwowiaków, ale i wszystkich Polaków. Samotna, trochę zdziwaczała, zawsze przygarniała jakiś uchodźców wojennych. Bardzo by się przydała w takim transporcie. Jeden z organizatorów transportu załatwił ją nie tylko odmownie, ale wręcz ordynarnie. Domyślam się, że był nachodzony przez wielu innych, nie mniej jednak ta pani mogła być dla nas wyjątkowo cennym nabytkiem. Wziął za to swoich krewnych, młynarzy, którzy poza wielką ilością pak mieli jeszcze całą wannę mąki. A wszystko to się przecież liczy w ciasnym wagonie...

W dniu wyjazdu nic się nie zmieniło. Aż tu w trakcie obiadu wpadł sąsiad z wiadomością, że właśnie jedziemy. A my tu w rozłożonym kramie! Nastąpiło gorączkowe pakowanie, utrudnione jeszcze obecnością dwóch Rosjan, którzy się o nasze mieszkanie kłócili i swoją obecnością chcieli udowodnić własne prawa. W tej sytuacji pozostało niejedno cenne, pamiątkowe, czy po prostu potrzebne. Zostawało najczęściej w kieszeni nieproszonych gości.

Załadowaliśmy się wreszcie na wielki „sztrajfer”, zaprzężony w dwa gniade konie. Załadowany dobytkiem dwóch rodzin. Nameczyły się one przy wyjeździe z podwórka na wyboistą drogę, a potem pod górę ulicą Gródecką, na Bogdanówkę. Kierowaliśmy się na tzw. rampę Merkurego (duża secesyjna piekarnia mechaniczna). Zajechaliliśmy gładko, a potem wyładunek i czekanie. Miało się to potem stale powtarzać – pod znakiem czekania właściwie upłynął cały transport. Trzeba było całą noc spędzić pod gołym niebem. Na szczęście była pogodna i względnie ciepła, choć to już koniec listopada.

Przez całą też noc zjeżdżali się ludzie z miasta. Grupowaliśmy się według przynależności „wagonowej”. Palono ogniska, nikt prawie nie spał. Gdzieś w środku nocy pojawili się szukający nas ludzie, których ruski szofer przywiózł ciężarówką pod Most Lewandowski i tam wysadził. Trzeba im było pomóc w przenoszeniu pak i tobołów, a był to spory kawałek. Była wśród nich dziewczyna, do której mówili: „Ziuna”, lub „Juna”. Miała miły głos. Bardzo byłem ciekaw jak też wygląda w świetle dziennym. Z satysfakcją stwierdziłem

byłem ciekaw jak też wygląda w świetle dziennym. Z satysfakcją stwierdziłem potem, że jej powierzchowność odpowiada barwie głosu. To była moja przyszła żona... Romantyczna przygoda, romantyczne uczucie w zupełnie nieromantycznych warunkach.

Następny dzień schodzi również na czekaniu i na pichceniach prostych posiłków. Snują się sine dymy. Poznajemy skład osobowy naszego wagonu. A jest tego sporo: 18 osób, w tym dwoje dzieci i pies. Bagażu jeszcze więcej! Mniej więcej połowa tylko tramwajarzy. Wagonów ciągle nie ma, a niebo zaciąga się chmurami. Na szczęście dym idzie prosto do nieba. Wśród wielu niesprawdzonych wiadomości, jedno jest pewne - tę noc mogliśmy spędzić spokojnie w domu, a i spakować się bez paniki. Odwiedzają nas znajomi, mający jechać następnym transportem. Krążą przekupnie z gorącym jedzeniem, z kanapkami i makagigami.

Pociąg podstawiono wreszcie przed wieczorem. Mimo długiego i denerwującego wyczekiwania, załadunek odbył się spokojnie – wszyscy sobie solidarnie pomagali. Najpierw należało nasz wagon wysprzątać i to nie po bydle, ale z resztek i opakowań po cemencie – n.b. z polskiej cementowni. Dawało to pewną gwarancję co do szczelności dachu, jako że sam wagon był dosyć sfatygowany.

Samo pakowanie nie zawsze przebiegało jak należy – bądź co bądź pierwszy raz... Niektórzy sprawnie rozścielili kołdry na pakach, pod dachem, gdzie cieplej. Można było na nich względnie wygodnie spać. A swoją drogą nie jest to takie proste aby pozostawić pod ręką to co najbardziej potrzebne (żywność) w czasie podróży, która nie wiadomo jak długo potrwa. Blżej wyjścia np. powinien znajdować się bagaż tych, którzy wcześniej wysiadają. Jako że nie wszyscy jednak do Wrocławia... Musi być miejsce na piecyk i rurę. Wagon powinien być też oświetlony. W szkołach morskich istnieje specjalny przedmiot dotyczący załadunku.

W następnym dniu poczta wagonowa wyraźnie już donosiła o ostatecznym odjeździe. Niektórzy odnieśli się do tego bardzo serio – poszły w ruch butelki z wódką, a także z likierem miętowym, wyrabianym wówczas we Lwowie, bodajże u „Baczewskiego”. Efekty nie dały na siebie długo czekać... Kiedy pociąg wreszcie ruszył słycać było stłumione łkania, westchnienia i okrzyki pożegnania. Włączyła się i batiarnia: „Do widzenia, do widzenia – kupcie sobie trąbkę do pier.....!”

Daleko zresztą nie odjechaliśmy. Po Mostem Lewandowskim zaczęło się szybowanie – tam i z powrotem. Wywołało to z kolei ironiczne uwagi i osuszyło łzy. Wreszcie pociąg nabrał rozpędu ale... wytracił go niebawem i stanął. W miejscu, które kiedyś było Lasem Białohorskim, ale zupełnie już wyciętym. Kiedyś wycieczkowe, a teraz przeraźliwie smutne miejsce! Tuż przy torze wznosiła się wysoka skarpa. Niewiele z niej było widać, a tylko wznoszące się daleko na Gródkim wieże kościoła Św. Elżbiety. Jak w znanej lwowskiej pieśni: „Z dala widać już niestety...”

Postój był konieczny, bo stanowił coś w rodzaju przeglądu technicznego. Teraz...! Dwaj kolejarze pisali na wagonach kredą: „godien”, albo „niegodien”. Naszą powinnością było wytarcie mokrą szmatą tych „niegodnych” napisów. Następną było zebranie funduszu na litr wódki i puszkę tuszonki. Wtedy pojechaliśmy! Przypomina się tu „maleńkij remontik” z „Przedwiośnia” Żeromskiego. Inna rzecz, że już za granicą zapaliła się oś w jednym z wagonów ale to był już polski skład.

Ruszyliśmy ostatecznie w nocy, aby nad ranem być na granicy. Pociąg zwalniał, przystawał, czekał. Wówczas dzieci przy torze pytały: „Dokąd jedziecie?” – „do Polski!” – „a skąd jedziecie?” – „z Polski...!”. Dla nas było to jasne: z Polski do Polski; ot taka krótkotrwała wycieczka. Na niektórych wagonach zatknięte były polskie flagi. Okazało się też wkrótce, że mamy w wagonie ponadnormatywnego pasażera, który musiał ze Lwowa wyjechać nieoficjalnie ale za to bardzo szybko. Schowaliśmy go za tą wanną z mąką.

Jedyne zresztą do czego się nam przydała. Nie znaleźli go tam radzieccy pogranicznicy, mimo dosyć szczegółowej kontroli. Po kilku godzinach byliśmy na granicy. I znowu łzy i westchnienia. Tak jakoś spontanicznie gruchnęła pieśń: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród...!” Znajdowaliśmy się już na dworcu przemyskim, wśród swoich. Tu wszyscy mówili po polsku i to nawet z lwowskim akcentem!

Tu też pierwsze spotkanie z funkcjonariuszami Polskiego Urzędu Repatriacyjnego, czyli PUR. Jakieś formalności, czarna kawa i takież chleb. Stąd zapewne utarło się powiedzenie:” z PUR-u był chleb, a z chleba był pur...”. Wywoziliśmy przecież ze sobą nie tylko bagaże, wspomnienia i miłość do rodzinnego miasta, ale i jego specyficzny humor.

Wieczorem w Jarosławiu. Tutaj opuścił nas młynarz z rodziną i bagażem. Jakoś nieśpieszno mu było do pionierskiej działalności na Ziemiach Odzyskanych. W wagonie luźniej. W nocy dały się słyszeć jakieś hałasy, pijackie krzyki i łomot zasuwanych drzwi. To maruderzy sowieccy nawiedzali wagony, pod pozorem handlu i wymiany. Skutki można było sobie łatwo wyobrazić. Po kilku ostrych słowach z obu stron zatrzasnęliśmy drzwi wagonowe (trzeba było zdemontować rurę piecyka). Ale były też tylne drzwi przystawione pakami, nie zamknięte. Kiedy je odsuwali poszła w ruch „sztangielka” (łom). Który dostał po łapach, odskoczył z wrzaskiem i przekleństwami i to wystarczyło aby drzwi zamknąć. Na szczęście nie strzelali. Siedzieliśmy w wagonie jak w zamkniętej twierdzy. Odetchnęliśmy z chwilą odjazdu.

Rankiem na dworcu w Tarnowie. Tu pierwsze zetknięcie z polską prasą ilustrowaną („Przekrój”, „Żołnierz Polski”) i spacer do kościoła na mszę. Nieśliśmy ze sobą okupacyjne przywiązanie do religii. Wielu miało za co dziękować Bogu i o co prosić. Ciekawe, bo szliśmy wzdłuż ...torów tramwajowych. Jedynej tarnowskiej linii, która została zlikwidowana w czasie okupacji, a jej wagony zasiliły przetrzebiony lwowski tabor. Dzień był dżdżysty i chłodny – typowa listopadowa plucha, ale dla nas to frajer! Powoli wchodziliśmy w tryb

i warunki życia wędrownego narodu, kiedy to największym problemem było znalezienie wody i miejsca do ... złożenia długu naturze. Opał nie stanowił żadnego kłopotu, był na każdej lokomotywie.

W bogatym wnętrzu katedry wyróżnia się wysoko rozbudowane epitafium Ostrogskich. Nie wiedziałem wówczas, że wyszło spod dłuta wrocławskiego rzeźbiarza Jana Pfistera, który w drodze do Lwowa zostawiał ślady swojej twórczości (ołtarz w Rzeszowie). Działał aktywnie we Lwowie, ożenił się z lwowską szlachcianką, a jego syn przejął profesję ojca. Nie byłem też wówczas świadom tego, że poruszamy się wycinkiem starego szlaku handlowego wiodącego niegdyś z Krymu do Antwerpii, przez całą handlową i kulturalną Europę. Handel bowiem otwierał drogę kulturze i sztuce, a na interesującym nas odcinku Lwów – Wrocław odbywała się nie tylko wymiana towarów, ale i ludzi z obu tych dziedzin.

Ranek w Krakowie. Powitał nas tam śnieg! Zima zaczyna się na dobre a my w drodze... W Krakowie mieliśmy rodzinę, która wyjechała ze Lwowa jeszcze przed nadejściem frontu. Zajmowali wygodne, 4-pokojowe mieszkanie w nowoczesnych blokach. Żyli już normalnie, a mój kuzyn podjął studia prawnicze przerwane w czasie wojny. Można tu było zjeść coś domowego, a przede wszystkim wreszcie się wykapać. Brak racjonalnej higieny dawał się już powoli we znaki.

Takie też wrażenie – normalności – robiło całe miasto. Ulice oświetlone, liczne tramwaje, na wystawach stopy smakowitych wędlin, i grubej słoniny. Chrupiące kajzerki – sam cymes. Z zazdrością patrzyłem też na rówieśników, a szczególnie na roześmiane rówieśniczki z niebieskimi i czerwonymi tarczami na rękawach. Był tu przedsmak normalnego życia, normalnej nauki, normalnego jedzenia. Czy też tak będzie w dalekim, nieznanym a zniszczonym Wrocławiu..?

W Krakowie staliśmy 4 (!) dni. W tym czasie należało się przepakować do pociągu na węższych, europejskich szynach. Tak go fatalnie podstawili, że trzeba było przenosić nasze paki o jeden wagon dalej, zamiast przesuwając je po

także dostaliśmy „bydlęce” wagony, z tym że ten nowy był jednak gorszy od tego „ruskiego”. Tamten był drewniany, a ten metalowy, co miało mieć później swoje konsekwencje.

Do Krakowa jechała z nami rodzina złożona z babci, córki i jej dwóch synków. Chłopcy nie pamiętali ojca, znali go tylko z fotografii. Starszemu bardzo ten stan nie odpowiadał. Mówił: „Ja ni putrzebuj takiemu tata z papiru...!” A na pytanie, jakiego by chciał, odpowiadał: „ta z mięsa...!”. Bardzo się to wszystkim podobało i takim „Tatem z mięsa” ochrzciliśmy naszego wagonowego, pana G. Zresztą i postura i usposobienie świetnie go do tego kwalifikowały. Prawdziwy „tatu” przyszedł po swoją rodzinę na dworzec, ale nie wydawał się uszczęśliwiony.

Wyjechaliśmy śnieżnym rankiem. Po krótkiej jeździe dłuższy postój na stacji Tunel, gdzie sam tunel został wysadzony przez Niemców. Skierowano nas na boczny tor. Wypogodziło się i dalszą trasę przebywaliśmy już w przyjemnych warunkach. A są to malownicze okolice południowej krawędzi Jury Krakowsko – Wieluńskiej. Łaski, urocze kotlinki między pagórkami, upstrzone gdzieśgdzie rozciągniętymi łatami wczesnego śniegu i sterczącymi również białymi skałkami – ostańcami wapiennymi. Kiedy się pociąg zatrzymywał, zwykle znajdowali się amatorzy skorzystania z kęp rosnących przy torach. Ale tu nie stał długo i kiedy z kolei ruszał, gonili go często faceci ze spodniami w rękę. Zdarzało się to nierzadko – nie zawsze zatrzymywaliśmy się na stacji, a w ciągu całego dnia jazdy organizm upominał się o swoje.

Wleczemy się: Bukowno, Szczakowa, potem Maczki. Dłuższy postój w urokliwej okolicy. Mały spacer w określonym celu po okolicznych zagajnikach odkrywa jeszcze okazałą, jesienno – letnią przyrodę. Pod drzewami bujne mchy, a na piaszczystych pagórkach pięknie rozwinięte porosty – chrobotki reniferowe, płucnice islandzkie i inne. Młody przyrodnik w określonej pozycji łapczywie chłonie niespotykane dziwy natury, aż tu nagle cały nastrój pryska, bo pojawiły się dwie baby z transportu, które także szukają odosobnionego miejsca...!

się dwie baby z transportu, które także szukają odosobnionego miejsca...!

Słońce zachodziło czerwono, kiedy stanęliśmy pod Sosnowcem. Wybraliśmy się do miasta po chleb: biały, świeży i pachnący. I krótkie skojarzenie: toż to stąd właśnie pochodził Kiepura, syn piekarza!

To była bardzo niespokojna noc. Pociąg jechał szybko, za szybko po licznych rozjazdach i zwrotnicach gęstej tutaj sieci torowej. Wiadomo – Zagłębie Górnosląskie! Wagonem rzucało na wszystkie strony. Już nad ranem, większy taki przechył rzucił jednego z mężczyzn na stojący przed nim piecyk. Zwaliło go z nóg, a on z kolei piecyk. Na blacie stał imbryk z wrzącą wodą, rozsypały się płonące węgle, a od nich zajęła się podłoga. I mogło się to znacznie gorzej skończyć, gdyby nie przytomność umysłu stojącej obok kobiety. Miała pod ręką wielki gar rosółu, który właśnie zamierzała postawić na rozgrzanym blacie. Chlusnęła nim na ogień. Rozszedł się swąd spalenizny i kłęby pary. Ogień zgasł i zdawałoby się że już po krzyku, gdyby nie krzyk właśnie i płacz poparzonej. Ściągano jej grube pończochy częściowo już z oparzoną skórą. Facet, który upadł na piecyk odniósł tylko lekkie poparzenia, za to umorusany był sadzą ze zdemontowanej rury. Zdetonowany tym wypadkiem, obrażony na cały świat, nie mył się przez pół dnia, wzbudzając śmiech w innych wagonach. Przychodzili go oglądać!

A myśmy mieli nowy kłopot. Poparzona leżała, cierpiała i odmawiała posiłków (w obawie o konsekwencje), a w ogóle należało się tym fachowo zająć. Traf chciał, że należała do rodziny tego, który tak bezceremonialnie odrzucił Panią Sakrę. A właśnie ona bardzo by się teraz przydała... O ile wiem, w całym transporcie nie było lekarza – brano za to innych. Niektórzy twierdzili, że to niemieccy maszyniści prowadzili transport i celowo nadawali taką ryzykowną szybkość na tych skomplikowanych połączeniach. Może i nie Niemcy, ale nie wpłynęło to bynajmniej na tempo naszego posuwania. Na trasę z Krakowa do Gliwic zużyliśmy z czekaniem 3 dni!

lwowskiej fali repatriacyjnej. Było tu jeszcze sporo Niemców, którzy powoli opuszczali swoje mieszkania zostawiając je naszym. Ale już robiło się ciasno. Powstawały też konflikty między przyjezdnymi, a autochtonami – ślązakami i „ślązakami”, jak się to później miało okazać. Powstawały zwykle na tle zrozumiałych różnic kulturowych i obyczajowych, pogłębianych jeszcze przez wojnę i okupanta. A tymczasem Ziemia Odzyskana czekały na swoich pionierów. Czekał i Wrocław. Uprzedzono nas lojalnie, że miasto jest zniszczone, a my je mamy odbudować. A tu tymczasem wszystko gotowe. Wprawdzie ciasno i Śląsk zadymiony, ale trzeba brać co jest!

W naszym wagonie nic się nie zmieniło poza konsekwencjami wspomnianego wypadku. Niektórzy byli za oddaniem poparzonej do szpitala, gdzie fachowa opieka – ale ona nie chciała o tym słyszeć. Trochę zdziwaczała stara panna. Została w wagonie, przyczyniając wiadomych kłopotów przede wszystkim sobie, ale i innym pasażerom. Tymczasem w sąsiednim wagonie pozostała tylko jedna rodzina, z czego skorzystałem. Przeniosłem tam swój leżak i chodziłem na noc spać, wykorzystując krótkie a liczne przerwy postojowe.

Za Gliwicami przejeżdżaliśmy przez księżycowy krajobraz, który pozostawiła po sobie wojna. Całe połacie zniszczonego lasu zryte kraterami po granatach. Podeszły woda, która teraz zamarzała tworząc białe tafle wczesnego lodu. Między kikutami pogruchotanych drzew. Był to zapewne efekt przygotowania artyleryjskiego. Potem Kanał Gliwicki, jeszcze z orłem hitlerowskim na śluzie. Wieczorem Opole. Niestety, tylko z krótkim nocnym postojem, co unieвозможиło mi odwiedzić przyjaciela. Jego adres podali mi inni, którzy wcześniej wyjechali. Tak się właśnie odnajdywali rozproszeni lwowianie. Niestety, przepadła kolejna kąpiel. I pomyśleć tylko, żeśmy tyle czasu strawili niepotrzebnie w innych miejscach!

Z Opola znowu objazd ze względu na zniszczony most na Odrze. Stajemy na dłużej w Piekarach, gdzie już wielu ludzi nie wytrzymuje i pociągami osobo-

Z Opolą znowu objazd ze względu na zniszczony most na Odrze. Stajemy na dłużej w Piekarach, gdzie już wielu ludzi nie wytrzymało i pociągiem osobowym jedzie do pobliskiego Wrocławia. Wieczorem transport przywlokł się do Brochowa, wrocławskiego przedmieścia. Przez Odrę przejeżdżaliśmy wolniutko po prowizorycznym drewnianym moście, który chwiało się i skrzypiało niebezpiecznie. Przyjechaliśmy tu po to, aby odstać kolejne 3 dni. Działała tu niezłe zorganizowana kuchnia PUR-u, którą prowadziły Niemki. Wyglądało na to, że też one głównie z niej korzystały. A zaczęły się właśnie silne mrozy i w tym żelaznym wagonie przemarzły nam resztki kartofli, które mieliśmy ze sobą. Myśmy także marzli i wzdychali do poprzedniego – „bydlęcego”, ale drewnianego.

Kiedy się tak stoi, denerwuje i czeka, nachodzą człowieka różne myśli. Dochodzi się też do pewnych ogólnych refleksji. Przecież całą tę żmudną drogę mogliśmy odbyć w ciągu 4-5 dni, gdyby nie bezsensowne (dla nas) postoje. „Tam” przecież spędziliśmy w wagonie tylko 2 dni, a resztę z dwudziestu możemy zawdzięczać wyłącznie indolencji polskiej kolei i takiej że administracji. Wiadomo – warunki powojenne, ale i zima stawia swoje twarde warunki.

Wreszcie, w pogodną sobotę podtoczyli nasze wagony na wrocławski dworzec. To była piękna z rozmachem wzniesiona budowla. Nasz pociąg stał pod szkieletem czegoś, co było przedtem oszkloną halą dworcową, tyle że okruchy grubych szyb zaścielały perony i tory. Nam hale nie dziwne – we Lwowie były także, a teraz mamy je tylko na Ziemiach Zachodnich (jeszcze w Bytomiu i Legnicy). Korciło nas bardzo, aby zobaczyć nasze nowe miasto. Ulice w pobliżu dworca obstawione były wypalonymi domami, które mimo to zachowały wiele z urody pięknego, europejskiego miasta. Zwracały uwagę gładkie jezdnie, pokryte idealnie spójną kostką granitową. Robił też wrażenie wielki gmach domu handlowego (AWAG). Za nim spowita zielenią fosa miejska i Stare Miasto. Tuż za teatrem operowym wielki gotycki kościół św. Doroty. Wszystko to, mimo widocznych zniszczeń mogło się podobać, a

nawet zaimponować. To co zostało i stało miało skalę europejską. Widać było bogactwo i krasę dawnego miasta. W częściowo zdewastowanym kościele uruchomiono jedną z kaplic, w której odbywały się polskie nabożeństwa.

Nasi fachowcy zrobili lustrację wrocławskich tramwajów, choć w zniszczonym mieście było tego dużo mniej niż na Górnym Śląsku. Jedynie niepełne dwie linie ... Wsiedli do „dwójki”, a z niej przesiedli się do jedyńki na placu Staszica. Wracając jednak pomylili kierunki i ... pojechali na Karłowice! Tramwaje wrocławskie różniły się znacznie od lwowskich: miast kabłąków miały długie metalowe drażki z kółkiem, które toczyło się po drucie sieci górnej. Na końcówce drażek ten należało odwrócić przy pomocy zwisającego sznura. Sznur był czerwony, ze sztucznego jedwabiu. Bywało, że na skrzyżowaniach drażek z kółkiem wyskakiwał i niszczył całą sieć. Wiele wozów tramwajowych leżało jeszcze w poprzek niektórych ulic, co miało stanowić zaczątki barykad fanatycznie bronionego miasta. Wszystkie wozy były jasnokremowe, a miały też szerszy od lwowskich rozstaw kół. Obsługę stanowili głównie starsi Niemcy (myśmy przecież dopiero przyjechali...) w starych mundurach z herbem Wrocławia na blaszanych guzikach. Lwowskie były solidniejsze – alpakowe. Ale już wprowadzono nowe czapki, rogatywki z miejscowych zapasów, jeszcze z tradycyjnymi zielonymi wypustkami (kolor zachowany w niemieckiej tradycji, także w Poznaniu). Komicznie to wyglądało, kiedy starszy pan w rogatywce zwracał się do polskich pasażerów po niemiecku...! Do solidnej konduktorskiej torby miał przytwierdzone metalowe urządzenie, które segregowało i wydawało potrzebny bilon. Niestety; aktualna waluta polska nie dysponowała monetami – nawet 50 groszy stanowiło „banknot”. Późnym popołudniem gruchnęła nagle wieść, że opuszczamy wagony. Nareszcie! W zasadzie wszystkich zawożono do PUR-u, którym miał siedzibę w szkole przy ulicy Paulińskiej. Nam jednak radzono, aby jechać na osiedle, gdzie mieszkają krewni Państwa G. Zwalniają się tam ponemieckie mieszkania. Tam też już wcześniej zawieziono poparzoną panią Zosię.

Milicja zarekwirowała przed dworcem kilkanaście samochodów ciężarowych. Kierowcy klęli w żywy kamień, bo tu wczesny zmierzch, czasy niespokojne, często wiezie się szaber, na drodze śnieg i gołoledź, a do domu daleko. Znowu przesuwanie pak – daleko i po schodach.

Na miejscu ładujemy się do zupełnie pustego mieszkania na I-szym piętrze. I znów targanie pak po schodach, ale pod górę i po ciemku. Dwupokojowe mieszkanie zajmujemy w trzy rodziny, według wagonowych przyzwyczajień – jest i tak luźniej niż w wagonie. Podobnie jak i tam nie ma prądu, ani wody, ani czynnej ubikacji. Wybite okna zakrywa się szmatami, a w piecach i kuchni można już napalić. Choćby deskami z opróżnianych skrzyń – przecież nie będą już potrzebne. Czy aby...?! Jedną trzymaliśmy potem załadowaną jeszcze przez parę długich miesięcy. Na wszelki wypadek... Na drugi dzień było już światło, ale trzeba było dalej chodzić w wiadomych celach do pobliskich ruin.

W dzień się także okazało, że „mieszkamy” w ciekawym miejscu. Za osiedlem rozciągały się ogródki działkowe, a za nimi Stara Odra ze śluzami, jazami i kanałami. Zawsze marzyłem o rzece! Lwów był pięknym miastem, malowniczo rozrzuconym na siedmiu wzgórzach, ale rzekę miał zasklepioną i zamienioną w wielki ściek. Na wałach nadodrzańskich stały działa przeciwlotnicze 88 mm i urządzenia radarowe, a na działkach poniewierały się haubice.

Moja przyszła aktywna teściowa weszła w kontakt z miejscowym Bürgermajstrem, dla zdobycia mieszkania, a konkretnie kartki z administracji („Zettel”), którą się naklejało na drzwiach, co świadczyło o zasiedleniu. Znalazło się takie, w nadmiarze wyposażone (meble, pościel, szkło, porcelana), z tym że on nie gwarantował, czy nie zgłosi się po nie poprzedni „właściciel”. Wódka i tuszonka rozwiały jego wątpliwości, a ja ze swoją szkolno-okupacyjną niemieczyzną byłem tłumaczem! Na zasadzie bosego szewca i myśmy dostali mieszkanie... Zupełnie wygolone, z meblami z różnych parafii. W dwóch pokojach zmieściliśmy się razem z państwem T., sąsiadami ze Lwowa

i z wagonu. Kuchnia i łazienka wspólne. Potem, kiedy już poszli na swoje, przyjechał kolega ojca z rodziną i ja dalej musiałem czekać na swój pokój.

Tymczasem nadchodziły Święta – pierwsze za domem, a właściwie w nowym domu. Drzewko, bańki, tradycyjne potrawy – nie może zabraknąć kutii! Intymnie, w gronie rodzinnym. Po willi wpada do nas „Tatu z mięsa” i idziemy wszyscy do rodziców Ziuty. Jej matka usmażyła pączki – lwowskie pączki: z konfiturą z róży, z obowiązkową jasną obrączką; posypane cukrem-mączką. W ciasno umeblowanym pokoju zmieściło się w sumie 12 osób. Było i podniosłe i swojsko. Właściwie to świętowaliśmy zakończenie wspólnie przebytej, nowej i ryzykownej drogi. Ale nie długo – trzeba było zdażyć na poranną pasterkę.

Puste, ciemne ulice – pusty wczesny tramwaj i oto jesteśmy pod kościołem św. Bonifacego. Właśnie wychodzą Niemcy ze swojego nabożeństwa. Wielu siąka w chusteczki, wielu ma zaczerwienione oczy. To przecież pierwsze święta, pod obcą, wrogą dla nich władzą. Nie ma w nas satysfakcji („Schadenfreude”). My to znamy i rozumiemy, przechodziliśmy to przez długie sześć lat! Na naszym nabożeństwie także wielu ma załzawione oczy, a niejeden załkał w kącie, choć z zupełnie innych powodów. W tym surowym kościele, pod wezwaniem obcego patrona po raz pierwszy chyba gruchnęła pod sklepienie polska kolęda. Pieśń dziękczynna, pieśń prośzalna: „...błogosław ojczyznę miłą!”

Nowy, zupełnie Nowy Rok! Zwykle stanowi okazje do podsumowania wydarzeń pewnego okresu. Trudno o bardziej istotne, wręcz przełomowe, jak te które mieliśmy właśnie za sobą, no i przed... Zostawiając swoje miasto rodzinne przybyliśmy do innego, które miało się stać naszym drugim miastem rodzinnym na długie lata i w którym większość z nas miała już pozostać na zawsze... Mimo, że we Lwowie przeżyłem „tylko” 16 lat, a z tego 6 zostało skażone przez wojnę i okupację – miał on swoje określone miejsce i w pamięci, i w sercu. Ale następny, dużo dłuższy etap przypaść miał właśnie na Wrocław: studia, praca, rodzina, dzieci... A poza tym było to „także” bardzo piękne miasto, szczególnie przed bezsensownym zniszczeniem.

Wrocław też był tylko pozornie miastem obcym – wystarczyło przerzucić kilkadziesiąt kartek podręcznika historii. Wróciliśmy na ziemię naszego historycznego dziedzictwa piastowskiego, z którego zostaliśmy wyczuci na następnych kilkadziesiąt kartkach. Żeby było śmieszniej, przybyliśmy tu także z Ziemi Piastowskiej, mimo jej skomplikowanych dziejów. Polskość dawała tu zresztą znać o sobie z każdego kąta: z nazwy miasta, jego dzielnic i jego herbu (sławetna litera W), z nazw miast dolnośląskich, a nawet z licznych napisów na poniemieckich cmentarzach: Fritz Skowronek, Willy Krakowsky, i im podobne powtarzały się tu stale w różnych wariantach.

Tutaj, w księstwie Legnicko-Brzeskim dynastia Piastów przetrwała do XVII w. (Jerzy Wilhelm i jego siostra Karolina). Zniemczeni, co było ceną postępu cywilizacyjnego w tej części Europy, a także należało do sekretów książęcej alkowy. We Wrocławiu była też ulica Piastenstrasse. Tu na Dolnym Śląsku pojawiły się pierwsze polskie pisane słowa („Księga Henrykowska”). Tu także wydrukowano pierwsze polskie modlitwy, a księgarnia braci Kornów drukowała polskie książki w XIX w. W Oławie rezydowali Sobiescy. W XIX w. we wrocławskich gimnazjach uczono języka polskiego, a Fredro chciał osiąść pod Wrocławiem, gdzie chłopci mówili po polsku. W miejscowych teatrach szły jego sztuki, niemiłosiernie zmieniane przez wrocławskich przyjaciół.

Nie zawsze wiadomości te przyswajało się w szkole. Nie brakło też tam kłopotów. II Liceum Ogólnokształcące przy ulicy Parkowej było bardzo nowoczesnie pomyślanym budynkiem szkolnym: z kabiną projekcyjną, pracowniami i basenem do ćwiczeń wioślarskich. Pięknie położone, wśród starej i bujnej zieleni („Dąb Piotra Włosta”) nad starą Odrą. Urządzaliśmy sami nasze klasy: dziewczęta myły okna i podłogi, a chłopcy wnosili ławki. Uprzątało się stare śmiecie i papierzyska. W trakcie tego znaleźliśmy zdjęcie jednej z niemieckich klas, na którym stoją sztywni pruscy profesorowie i zdyscyplinowani uczniowie. Ale jeden z nich robi przy tym tzw. „małpę”. Bardzo się nam nasz starszy kolega spodobał! Cóż, kiedy przy tym wszystkim zepsute było ogrzewanie i

całą, dosyć ostrą zimą (Odrę można było w kilku miejscach przejść po lodzie) przeżyliśmy w zimnych klasach. Dziewczeta siedziały w płaszczach, a chłopcy nakładali po kilka par ciepłych rękawic i organizowali normalne i formalne mecze bokserskie na dużych przerwach: z podziałem na wagi, odliczaniem rund, sędziowaniem itd. Na wiosnę przyszły treningowe rękawice bokserskie, a w następnym roku naprawiono ogrzewanie. Liceum było typu przyrodniczego, ale nie było w nim ani jednego mikroskopu. Specjalistyczne pracownie stały puste.

Odra, z jej licznymi ramionami i kanałami, spiętrzona przy pomocy jazów i śluz czyniła nasze miasto jednym z najpiękniejszych, o ile nie w ogóle najpiękniejszym w Polsce. Do tego dochodzą mosty i mostki, których jest w sumie 220, co przypomina Wenecję, Amsterdam, i St.Petersburg. Sporty wodne, plażowanie, kąpiel na dopływach i kąpieliskach, Biała Flota, wędkowanie – wszystko to się z Odrą wiąże w sposób atrakcyjny. Nie zawsze potrafimy ją docenić i wykorzystać (bulwary, kanalizacja rzeki) i stąd może kłopoty powodziowe. Przy jej pełnym zagospodarowaniu, nie trudno sobie wyobrazić Wczasy Pływające, ze zwiedzaniem nadbrzeżnych miast itd. Warto chyba bardziej na to wydać miliony, niż na stadiony dla nadzianych i skorumpowanych „gwiazd piłkarskich” oraz ekscesów chuligańskich kibiców. Odra jest modra, nawet kiedy niezbyt czysta, bo w niej odbija się niebo!

Jeszcze w grudniu 1945 nasi panowie zgłosili się do pracy. W maju przyjechał II Transport Tramwajarski, a we wrześniu po niecałym roku można już było dojechać na Krzyki, Grabiszyn, Pilczyce - przez najbardziej zniszczone dzielnice miasta. Szykowano uruchomienie linii tramwajowych do Leśnicy i Kleciny, na najbliższą przyszłość. Mój ojciec był w ekipie zakładającej sieć górną. Ludzie brali się ochoczo do dodatkowych prac np. do odgruzowania. Całe pociągi wrocławskiej cegły szły do Warszawy, razem z wrocławskim grzybem. Jakby i tego było mało, objęliśmy w posiadanie ogródki działkowe – praca do późnego wieczora. Porządkując działkę, przy usuwaniu złomu mój przyszły teść chwycił coś, co mu wybuchło w rękach i oberwało większą część

część lewej dłoni. W parku przy ulicy Nowowiejskiej oglądałem zwłoki chłopców, którzy wyciągali coś ze znajdującego się tam stawku i także zginęli od wybuchu. Płaciliśmy niemałą cenę za naszą tu obecność.

W całym mieście trwało gorliwe i konsekwentne usuwanie śladów niemczyzny. Po tym co przeszliśmy mieliśmy do tego pełne prawo, a nawet obowiązek. Nazwy ulic, szyldy, reklamy itd. Stosunkowo kłopotliwe, a często i trudne było usuwanie nagrobków na poniemieckich cmentarzach. Często były to prawdziwe dzieła sztuki kamieniarskiej, kute w szlachetnych odmianach kamieni budowlanych. Pewnym usprawiedliwieniem był okres ilości lat trwania grobów, które w tej sytuacji traciły swoich opiekunów. Wysuwane później analogie do barbarzyńskiego zniszczenia Cmentarza Obrońców Lwowa są po prostu niepoważne. Cmentarze Wojskowe w całym cywilizowanym świecie są chronione przez międzynarodowe konwencje. Nasz kraj, przeorany przez dwie wielkie wojny zachował wiele cmentarzy wojennych: ruskich, pruskich, austriackich, także włoskich - grobów francuskich, brytyjskich i amerykańskich. Są zadbane w miarę naszych skromnych możliwości, a przynajmniej nikt ich celowo nie niszczy. No, może z wyjątkiem cmentarzy radzieckich we Wrocławiu, dewastowanych przez politycznych oszołomów i ich mocodawców. A lwowski cmentarz zniszczyli nasi sojusznicy w wojnie antyhitlerowskiej.

Przede wszystkim usunięto niemieckie pomniki, zdecydowanych wrogów Polski: Fryderyka Wielkiego, Wilhelma I, Bismarcka i in. Przy okazji też dostało się Schillerowi i Eichendorffowi z Parku Szczytnickiego. Schillera ustawiono później na dawnym miejscu i uzupełniono tekstami w języku polskim. Ten ostatni, największy poeta śląski rozmawiał po polsku z przedstawicielami Wielkiej Emigracji – nie tylko dlatego, że uczył się języka we wrocławskim gimnazjum, ale i pochodził spod Raciborza...

Usuwanie śladów niemczyzny to także usuwanie Niemców. Wysiedlanie, przesiedlanie, ale w spienionym języku ziomkostw jest to zawsze: „wypędzanie”. Tu znowu powraca histeria nadętych emocjonalnie określeń. Już o niej

wspominaliśmy na początku, a tu ma wyraźne zabarwienie polityczne. Działacze ziomkostw znają to zapewne z własnego doświadczenia, kiedy Polacy z „Warthegau” wyrzucani byli natychmiast („sofort”!), bez żadnych względów. „Ludzki” SS-man (jeżeli to w ogóle możliwe...) czasem pozwolił na zabranie małej walizeczki z dokumentami, pamiątkami, zdjęciami. Podobnie wyglądały wywozy naszych na Sybir.

Usuwanie ludzi z ich domostw, miast i krajów, szczególnie gdzie żyły całe pokolenia – zawsze graniczy z tragedią. Ważne są jeszcze powody, ale o te Niemcy muszą zapytać samych siebie, i naszych sojuszników, którzy nam i im ten los spowodowali. Ważne są jeszcze warunki, w jakich się to odbywa. A jak to wyglądało we Wrocławiu? Długie kolumny wysiedlanych, przez wyburzone wrocławskie ulice kierowały się na Dworzec Świebodzki. Ciągnęli, lub pchali wózki (2 i 4 kołowe) ze swoim dobytkiem. Tam wózki sprzedawali (mój ojciec kupił sobie taki na działkę) i ładowali się do wagonów – wiadomo jakich. W transporcie był lekarz, siostra i wagon dla chorych. W sumie jak na „wypędzonych” były to warunki lepsze od naszych, polskich. Jechali do swobodnie wybranych sektorów okupacji Niemiec.

Wiele z opisanych powyżej spraw i zdarzeń, w dzisiejszych czasach napotykałoby na poważne trudności w realizacji, lub byłoby zgoła niemożliwe. Taka np. Hala Ludowa (Jahrhunderthalle), wspaniała budowla kopułowa, wzniesiona w związku ze stuleciem Wojny Wyzwoleńczej (Freiheitskriege), przeciw Napoleonowi, która rozpoczęła się właśnie we Wrocławiu. Miała swoją bogatą historię przed i po wojnie. W 1946 roku walały się tam piszczałki organowe, metalowe i drewniane z dużego, zdewastowanego instrumentu. Wygodne fotele zasiliły jedną z pobliskich wyższych uczelni, a po drabinkach można było wyjść na szczytową kopułkę. Dokoła zachodziły określone przemiany i komuś przestała się podobać jej nazwa. Niektórym tępakom widać wszystko co ludowe kojarzy się z PRL-em! W związku z tym trzeba będzie chyba zmienić nazwę stronnictwa PSL i skromnej przedwojennej instytucji –

Towarzystwa Szkoły Ludowej (ta wyklinana PRL szerokim gestem machnęła „1000 szkół na 1000-lecie”). No i chyba zmienić słowa znanej pieśni wielkopostnej: „Ludu mój ludu...”. Wrócono kornie i bez wazeliny do nazwy niemieckiej i mamy teraz Halę Stulecia. Idę o zakład, że gdybyśmy np. na Rynku wrocławskim przeprowadzili ankietę w sprawie znaczenia tej nazwy, to co najmniej 97% pytanych nie miało by o tym bladego pojęcia! A wszystko to dlatego, że w naszych szkołach nie uczy się ciągle jeszcze historii Niemiec. Ale się wprowadza nowe, światłe, jedynie słuszne, patriotyczne tradycje. Inne oszołomy zapomniały widzieć, że w tej wojnie byliśmy, słusznie czy nie, po drugiej stronie, nasi żołnierze ginęli w walce z Prusakami, a księżę Pepi zginął właśnie pod Lipskiem. Ponieważ cwany Napoleon mamił nas wolną Polską, a niektórzy do dziś wspominają go z łezką w oku.

W tym samym roku, w którym Gierek nam pozwolił wybudować Zamek Królewski w Warszawie, u nas zaczęto wyburzać podobny zamek przy Placu Wolności. Po to chyba, żeby nie stwarzać konkurencji, ponieważ nasz był autentyczny, tylko wypalony. Nadawał się lepiej do odbudowy, a wtedy można było w nim przywrócić salę Krzyża Żelaznego. Słynne to odznaczenie zostało bowiem ustanowione we Wrocławiu na początku wyżej wspomnianej wojny. Państwo pruskie było wyniszczone przebiegiem dotychczasowych działań wojennych i nie stać go było na fundowanie odznaczeń z metali szlachetnych i takichże kamieni. W każdej z następnych wojen wydarzało się coraz więcej niechlubnych wyczynów, które były honorowane tym odznaczeniem. Znamy to dobrze choćby z kampanii w 1939 roku i z obu powstań warszawskich. Ale wojna przynosi awanse nie tylko żołnierzom i oficerom. Krzyż awansował także. Doszedł wreszcie do skomplikowanej postaci: Liścia Dębowego do Rycerskiego Krzyża, Krzyża Żelaznego z Mieczami i Brylantami. Liść był już złoty, ozdobiony kamieniami. Było to możliwe po zajęciu Amsterdamu i Antwerpii, zagrabieniu żydowskiego złota i diamentów.

No to jak; odbudowujemy – pomożecie...?!

Jesteśmy więc we Wrocławiu, na drugim końcu przebytego szlaku – jednego z najważniejszych traktów handlowych w ówczesnej Europie: Wschód – Zachód. Kiedy budowano kamienny Lwów, Wrocław był już dobrze prosperującym organizmem miejskim. Jego kupcy wyczuwali doskonale położenie nowego centrum handlowego tam bowiem kończył się wschodni „Czarny Szlak” i jego odgałęzienia. Podobnie ocenili to później Wenecjanie, którzy swoją potęgę zbudowali na pośrednictwie między Wschodem a Zachodem. Świadczy o tym choćby Kamienica Massarowska w Rynku – jedyne przedstawicielstwo dyplomatyczne i handlowe Republiki w Polsce.

Wrocławscy patrycjusze wysyłali tam swoich synów i braci dla zakładania filii kupieckich. Ci się we Lwowie budowali i żenili. W drugim pokoleniu mówili już po polsku (z lwowskim akcentem...). W trzecim zmieniali nazwiska: Szolc-Wolfowicze, Ostrogórcy (Scharffenbergowie), Wedelscy (Wittenbergowie) i w.in. Zanim się spolonizowali, najpierw się leopolizowali.

Przede wszystkim budowali. Że wymienimy tu muratorów lwowskiej katedry, o typowych nazwiskach: Rabisz, Grom, Gonzaga (Ganseke, Gąska) – przedstawiciele wrocławskiego centrum myśli technicznej i artystycznej, które eksportowało fachowców. Zanim dotarli do celu, zostawiali swoje dzieła w Krakowie, Bochni, Bieczu, Tarnowie, Rzeszowie i Jarosławiu.

Szlakiem handlowym toczyły się w obie strony ładowne wozy z towarem, a z nimi młodzież żądna wiedzy, humaniści i artyści. Wrocławianie studiowali z reguły w Krakowie i tam się spotykali ze swymi kolegami ze Lwowa. Potem i jedni i drudzy wędrowali i tu, i tam. Przypomina te czasy Plac Solny (dawny „Targ Polski”), jako że tu handlowali przybysze ze Wschodu, m.in. solą warzonoą z Drohobycza. Pobliska ulica Ruska, to dawna „Reuschestrasse”, przy której stały zajazdy dla polskich kupców z Rusi Czerwonej (Grodów Czerwieńskich).

Podsumowując –nie popełnimy chyba wielkiej przesady w maksymie: wrocławianie zbudowali średniowieczny i upiększyli renesansowy Lwów, a lwowianie przybyli po wojnie do Wrocławia, aby go w rewanzu odbudować !